

dwutygodnik młodzieży katolickiej

droga

sierpień
#15-16

ISSN 1643-9741
Cena 5,00 zł
www.droga.com.pl

48
STRON

na temat:

Survival

w numerze:

POMYSŁY NA NIEBANALNE RANDKI
POLSCY ŁOWCY BURZ
REKONSTRUKCJE HISTORYCZNE

KONKURS WAKACYJNY

Wstać, przynieść wody, narąbać drzewa

Z Krzysztofem J. Kwiatkowskim,
który organizuje młodzieżowe obozy
przetrwania w Bieszczadach,
rozmawia Jola Tęcza-Ćwierz

Skąd taki pomysł na życie?

- Gdy byłem licealistą - a był rok 1970 - zacząłem opuszczać lekcje, udawałem się do lasu i tam... szukałem samego siebie. Taki młodzieńczy bunt. Któregoś dnia obejrzałem film *Dziki dziecko* w reżyserii Francois Truffaut. To prawdziwa historia z 1789 roku, opowiedziana językiem filmu. Chciano się pozbyć pewnego dziecka, lecz ono przeżyło w lesie i zostało znalezione. Doktor Jean Marc Gaspard Itard próbował przywrócić chłopca do świata ludzi. Pojawiła się we mnie szczególna wizja i zacząłem zajmować się pogubionymi dziećmi, by znalazły siebie. Dlatego wychodziliśmy do lasu.

Zanim zrodził się mój *survival*, parę lat byłem pedagogiem ulicznym. Zacząłem pracować w szkole i przy okazji prowadzić koło strzeleckie. Dzieciaki chciały letnich obozów. I wtedy okazało się, że jesteśmy raczej kołem wędrowców w dziczy i pojawiło się słowo *survival*. A ja zacząłem świadomie przyglądać się zjawisku. Zrozumiałem, że to nie jest działalność okolicznościowa, przypadkowa. Ma w sobie ogromny potencjał, ale trzeba rozumieć wszystkie jej procesy.



Krzysztof J. Kwiatkowski
podczas kursu
instruktorskiego

Pracując w zakładzie wychowawczym, wyprowadzałem podopiecznych w teren. Organizowałem podchody (nieco poważniejsze niż te dziecięce), mosty linowe, wspinaczkę na drzewa itp. Pomagali mi asystenci, wychowani trochę w sztuce przetrwania, nieco tylko starsi od moich podopiecznych. Do dziś wspominamy, ile dobrego nam to dało. Do dziś też nie umiem przestać...

Kto bierze udział w takich obozach? Czy do *survivalu* trzeba się przygotować?

- To zajęcie dla każdego. Nawet bez żadnego przygotowania. Trzeba jedynie pamiętać, że nasze postępowanie musi być adekwatne do tego, jacy jesteśmy i w jakich warunkach działamy. Jeśli ktoś jest mniej doświadczony, a udaje się w miejsce, gdzie panują trudniejsze warunki, powinien mieć doświadczonego towarzysza. Nie ma jednak wyraźnych granic wyznaczających pole naszej aktywności. Nie chodzi oczywiście o bycie zwariowanym, lecz rozważnym. Dlatego lepiej być przygotowanym. Bycie

rozważnym wcale nie oznacza bycia nudnym.

W powszechnej świadomości *survival* kojarzy się z umiejętnością przetrwania w lesie, rozpalania ogniska bez użycia zapalek albo jedzeniem korzonków na kolację. Jaka jest Pana definicja?

- Oto ona: „Na *survival* składa się zespół postaw i świadomych zabiegów przygotowujących do przetrwania oraz służących przetrwaniu w przewidywanych trudnych i skrajnie trudnych sytuacjach. *Survival* jest sztuką dostosowywania samego siebie do warunków zewnętrznych oraz sztuką dostosowywania warunków zewnętrznych do swoich potrzeb. Zwłaszcza wtedy, gdy dotyczy sytuacji nietypowych, nagłych i groźnych wobec braku podstawowych środków do życia oraz narzędzi”. Całość służy własnemu przygotowaniu do radzenia sobie z coraz poważniejszymi wyzwaniami rzeczywistości. *Survival* to przetrwanie. Nic innego.

Proponuje Pan wykorzystanie metod *survivalowych* także w edukacji. Czego można się nauczyć podczas obozów przetrwania?

- *Survival* zawiera w sobie wszystkie dziedziny życia i nauki. Tworzą



Niecka do wyrabiania ciasta



Przygotowanie ogniska



Chleb chroniony przed myszami

spójny zbiór wiedzy oraz praktyki: uczący bycia w naturze bez lęku, odkrywania radości życia, doznawania swojej zaradności, w którą przedtem kazano nam wątpić. Pomaga stwierdzać, że ludzie różni mogą odkrywać, jak są sobie bliscy. Ukazuje własną wartość, obraz siebie jako kogoś odpowiedzialnego. Właściwie... same zyski. Jest jeden problem. System oświatowy jest za sztywny. A gdyby nawet otworzył się na survival, to natychmiast by z niego zrobił zimny obowiązek, a nie gorącą radość...

Jak wygląda typowy dzień w survivalu?

- Survival w moim wydaniu daje dużo swobody. Unikam tego, by ktoś zarządzał przebiegiem dnia. Oczywiście trzeba wstać, zebrać się, narąbać drzewa, przynieść wody, zapalić ognisko, zrobić coś do jedzenia itd. Każdy urządza to tak, jak chce. Jest jedna zasada dla wszystkich, np. po wodę idzie ten, kto pierwszy zauważył, że jej nie ma. Inicjatorem musi być ten, kto stwierdził jakiegoś braku, coś, co trzeba zmienić. Tu nikt nic nie musi. Każdy włącza się wtedy, gdy czuje, że jest gotów. Uczestnicy szybko chwytają tę zasadę i chcą się włączyć.

W jaki sposób uczestnicy reagują na proponowane przez Pana metody? Czy się buntują? Czy narzekają, albo mówią: „Nie chce mi się”?

- Metoda jest prosta: pomaga nam nadleśnictwo w Bieszczadach, wydając odpowiednie zgody i robimy wypad tam, gdzie zanika cywilizacja. W pobliżu obozowiska mamy wilki i niedźwiedzie. Każdy musi znaleźć w sobie tę aktywność, aby coś zjeść, nie zmoknąć, nie zmarznąć, mieć gdzie spać... Rozróżniam słowa „nie

Survival uczy bycia w naturze bez lęku, odkrywania radości życia, doznawania swojej zaradności, w którą przedtem kazano nam wątpić.

chce mi się” wypowiedziane przez osobę, której zazwyczaj się chce, od tych samych słów wypowiedzianych przez kogoś unikającego wysiłku, niewygód, a może w ogóle... życia. Z tymi drugimi nie mieszam do czynienia. Szybko dają się przekonać, że są piękniejsze sprawy od „niechcenia”. Skoro obowiązuje reguła, że nikt nic nie musi, to oznacza oddanie decyzji każdemu z osobna. Ale czy ktoś bierze rower, aby na niego nie wsiąść? Lub udaje się na koncert, aby go nie słuchać?

Jaka była najbardziej ekstremalna sytuacja, w której się Pan znalazł?

- To bardzo trudne pytanie. Wybrałem pracę, oznaczoną jako „praca w trudnych warunkach”. Ja jej za taką nie uważam. Ja ją kocham. Jest mi w niej dobrze. Wpadałem w rozmaite sytuacje i nigdy nie czułem, ani nie zachowywałem się, jakbym był w tarapatkach.

W 2004 roku uczestniczyłem w rajdzie samochodowym TRANSYBERIA-GIGANT. Trzydzieści tysięcy

kilometrów na trasie Gdańsk-Magadan-Gdańsk. Na Trakcie Kołymskim wysiadłem z samochodu, zaś kierowca - nie wiedząc o tym - odjechał. Trakt miał długość około tysiąca kilometrów, byłem gdzieś pośrodku. O tych okolicach mówiło się, że chałupa od chałupy stoi w odległości 100-400 kilometrów. Byłem sam z tym, co miałem na sobie oraz przy sobie. Zaczynała się syberyjska zima... Jednak byłem zupełnie spokojny. Wiedziałem, że sobie poradzę. Dawniej przestałem czuć strach i lęk. Dzięki temu, kiedy dzieje się coś dramatycznego, mogę spokojnie działać. Na przykład ratując innych.

Jakim byłby Pan człowiekiem, gdyby nie survival?

- Surwiwalowa droga była moim największym odkryciem. Widzę siebie jako człowieka szczęśliwego, zrównoważonego, ale z dużą fantazją, odpornego na trudy, gotowego do działania, lubiącego ludzi.

Napisałem książkę pt. *Survival po polsku*. Ukazała się w 1996 roku. Teraz szykowana jest czwarta edycja. Każda z poprzednich była z jednej strony „starą książką”, a z drugiej - „mocno pozmienianą”. Przecież wciąż uczyłem się życia. Wersja z 2017 roku ma wyjść... w czterech tomach.

W jaki sposób zachęciłby Pan do uczestnictwa w survivalu?

- Najprostszy: albo chce się poznać bogactwo życia, albo tkwi się, jak w klatce, w swojej starej formie. Zawsze, przez całe życie, stajemy przed życiowymi wyborami... Jak mawiał David Copperfield, bohater książki Charlesa Dickensa: „Albo będę bohaterem swojego życia, albo jego ofiarą”.

Dziękuję za rozmowę.